

Gnothi seauton

(Dokończenie ze strony 4)

się do tego świata? Właśnie pierwszy wers Mowy poddaje w wątpliwość możliwości ustalenia swojej tożsamości. A zatem nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kto wyznaczył mi takie, a nie inne miejsce i rolę w tym świecie – bo tak chyba trzeba rozumieć drugi wers: „Któż imię dał ci i co ono znaczy?”. A świat ten jawi się jakby był rzeczywistością pozorną, pozbawioną stabilności i substancjalności: „Modliłem się do ścian, lecz popatrz – zniknęła”. A co pozostaje? – „śniegu dzwon”, czyli jakby rozproszone echo po jej istnieniu. Więc wszystko, co człowieka otacza, jest dziwne i nosi piętno ulotności i znikomości, a on sam czuje się czymś niezrozumiałym dla siebie samego. Owa niepojętość samego siebie wzmacnia się, gdy człowiek styka się z żywiołem mowy, nie jako narzędziem porozumiewania się z innymi ludźmi, ani w roli klucza do tajemnicy rzeczy, lecz z jej – mowy – substancją wewnętrzną, odrębną od świata – nie tylko zewnętrznego, ale i wewnętrznego; z mową jako rzeczywistością osobną, wzbudzającą niespodziewaną grozę nowej tajemnicy obok tajemnicy świata rzeczy i wewnętrznego świata człowieka. Mowa okazuje się poza tym siłą, niczym jakiś potężny nurt wody, który wypłukuje z nas i zabiera ze sobą te wszystkie pierwiastki naszego jestestwa, które zostały dotknięte słowami. Dotknięte, czyli nazwane, a jeśli nazwane, to jakby zakończone w swojej ontycznej roli, jaką pełnią wewnątrz naszego bytu. Po odegraniu tej roli znikają wraz ze słowami, które obwieściły im koniec i odejście. Stają się jestestwu ludzkiemu niepotrzebne. Ono się w ten sposób oczyszcza tak dalece, aż staje się „najczystszy istnieniem, / niepodzielną na słowa ostateczną prawdą”. A więc może należałoby mowę tutaj traktować jako duchową siłę, która nas oczyszcza z tego, co składa się na ulotność naszego bytu i bytowania, na ich przygodność. Jako byty cielesne bowiem jesteśmy poddani przemianom. Ale jest w nas jakieś residuum, które nie przemija. Do tego residuum unosi nas rzeka wypowiedzanych słów, wypełniająca czas naszego ziemskiego bytowania, zamieniająca się w zamknięty akwen mowy, w której już nie rozpoznajemy samych siebie – „mowy nie do wiary ciemnej”. Nie rozumiejąc naszej mowy, nie rozumiemy samych siebie. Giniemy jako istoty mówiące, których istnienie naznaczone jest słowem, a zamieniamy się w „czyste istnienie” bez słów i bez tego, co one ze sobą niosą i czym nas obdarzają. Ono dopiero jest naszą „prawdą ostateczną”. Tak bym dzisiaj, po ponad pół wieku, odczytywał ten tajemniczy dla mnie samego wiersz napisany, gdy miałem dziewiętnaście lat. W tym wierszu świadomy logos poezji ma charakter zaledwie embrionalny, zastępuje go instynkt. A odczytywać to, co powstaje za sprawą instynktu, to zadanie tyleż trudne, co niepewne, a nawet ryzykowne. Ale twory ludzkiej myśli i wyobraźni, gdy opuszczają swoich twórców, stają się własnością kultury

i tych, którzy w niej uczestniczą jako czytelnicy, słuchacze czy widzowie i jako ci, którzy nie poprzestają na tym, co słyszą i widzą, lecz pragną jeszcze to dogłębnie zrozumieć. I właśnie to skłania mnie do snucia interpretacyjnych refleksji nad swoimi wierszami, które mnie opuściły po ich napisaniu lat temu niekiedy kilkadziesiąt, tak jak w przypadku omawianego teraz wiersza *Mowa*.

Wiersze interpretowane w części IV:

Ad Deum absconditum

*mądrość Stwórcy
niczego nie czyni
bez harmonii
i bez racji*
G.W. Leibniz

Od wody wieje wiatr, nalewa
samotność we mnie noc i dzień,
i upodabiam się do drzewa,
które w zimowy idzie sen.

Dla ciszy ciało swe otwieram.
Ty jeden, ciemny Boże, wiesz,
że jeśli ciało gdzieś umiera,
to cisza w Tobie rodzi dreszcz.

I wchodzisz we mnie owym dreszczem –
mój lęk dla Ciebie bramą.
I nie wiem, Boże, jak Cię zmieszczę,
a wiatr i śnieg już idą za mną.

Nad ciemną ziemią wschodzisz smugą,
gdzie serce moje Cię zasiało.
Ja – wód głębokich, wiatrów sługa
w Twe światło niosę ciało.

Przygaśnij nieco, zmień się w drzewo,
stań się na chwilę wiatrem.
Słyszysz, jak ciało moje śpiewa
u wrót Twych, Mundi Pater?

I co uczynisz z nim Światlisty,
gdy wniosę je w Twój ogień?
Czy z martwej ciszy je oczyścisz,
czy rzucisz je odłogiem?

Cokolwiek, Boże, z nim uczynisz,
cokolwiek mu się zdarzy,
w Twoim jest rękę świata Finisz,
wszystko odbiciem Twojej twarzy.

Więc nic nie zginie, nawet gdy
obróciłbyś je w nicłość,
bo nicłość także Twoja jest,
jak Twój jest byt i czas, i litość.
Nie mogę przeto nawet ciała
utracić, bo nie moje.

W Twym dobroczynnym cieniu z ognia
nawet nicości swej nie stracę.
Bo nicość pije byt Twój do dna
i w światło się obraca.

Niech więc to światło, Wielki Boże,
zakwitnie we mnie sadem,
a ciała mego pieśń jak w morze
w Twe cisze się zapadnie.

1982; 2011

Po coś Boże

pamięci Profesora Leszka Kołakowskiego

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
wszystkie zgasań, gdy umrę i odejdę w ciemność.

Twa rozrzutność gwiazdzista dla mnie niepojęta –
dla mizernego ciała taka uczta święta?

Po coś, Boże, zasadził tyle drzew na ziemi,
dla mnie jedno wystarczy, co nie rodzi cienia
i rośnie tam, gdzie duch mój wypuszcza korzenie,
a z nich idzie pieśń ciała w czasie i przestrzenie.

Po coś, Boże, utworzył tyle ptaków polnych?
Moim polom by starczył jeden ptak, lecz wolny.
Moim lasom, co rosną w głębiach mego ciała,
wystarczy, aby wilga deszcz wyśpiewywała.

Gdybyś mnie był uczynił owadem w powietrzu,
może bytów nadmiaru tak bardzo bym nie czuł.
Zawieszony w nieważkiej eteru przestrzeni
czułbym się bardziej bratem, niżli wrogiem cieni.
I nigdy bym swym skrzydłem tak jak przeszłość
nie podważał niebiosów, by głos Twój wysłuchać.
I nigdy bym na Ciebie nie podnosił larum,
dlatego żeś mnie stworzył niedorzeczną marą.

Lecz istniałbym, jak we śnie istnieją powawy,
przychodzą skąd nie wiedzieć, biją do bram jawy,
jawa przed nimi bytu otwiera podwoje,
a one dotykając, dzielą byt na dwoje.
I byt tak rozdzielony idzie na rozstaje,
gdzie zarówno trwa wiecznie, jak wiecznie powstaje.

Tak bym i ja się uczył na jawie i we śnie,
jak powstawać i ginać, a istnieć równieśnie.
Lecz zrodzon z prochu ziemi do nieba wciąż wzlatam
jak wiatr nieświadom siły, która nim pomiatą,
jak kometa, kosmosu błędząca ofiara,
w której wszystko spłonęło, został los i wiara.

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno.
I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą,
przecież prościej, więc lepiej, gdyby mnie nie było.

Złożony z światła duszy i z ciała ciemności,
czemuż nie jestem, Boże, pewny Twej miłości?

Czestków, 28 sierpnia 1994; Mława, sierpień 2009

Drzewo drzew*

Nad stanami jest i s t a n ó w – s t a n
C. K. Norwid, *Pielgrzym*

Gdy słońce gaśło ogromne nad puszczą
i wiatr z ziemi odrywał mroczniejsze góry,
drzewa wzniosły do nieba korony
i zapłakały głosem wielkim:
Słońce, ach, Słońce, czemu nas opuszczasz!

Wówczas nad puszczą wypłynął śnieżny anioł
i rzekł: nie płaczcie, światła ziemi nie zbraknie,
albowiem jesteście z Królestwa Zieleni,
gdzie Słońce ciągle wraca do źródeł kolorów.

Bo nie z tej puszczy jest królestwo wasze
i nie z tej wody, którą pije korzeń
i nie z tej ziemi, którą woda zrasza,
nie z tego światła, co wam świeci co dzień.

Jest bowiem Słońce-słońc i wiatrów-Wiatr
i drzew rozlicznych jedno Drzewo.
I jeden Korzeń żywi nas. I jest
Ziemia spokoju za tą ziemią,
gdzie ten sam Konar wiecznie trwa,
choć wciąż się w puszcze zmienia.

1962; 1983

*) We wcześniejszych wydaniach tytuł brzmi *Z biblii
leśnej*.